

## **Agnieszka Kołakowska: Refleksje o demokracji w Ameryce. Rasistowskie fakty i brzuchomówstwo**

W obecnym klimacie trudno odróżnić politykę od kultury, od walki o pieniądze i władzę, od własnych interesów, od przekonań, od walki o liberalizm. Walka o liberalizm w starym sensie tego słowa już chyba odpadła, ale co do reszty – istotnie, jest to trudne, bo prawdziwej różnicy nie ma – pisze Agnieszka Kołakowska w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Tocqueville i wyzwania demokracji”.

Wypracowanie zadane mi przez czcigodną Redakcję miało być odpowiedzią na pytanie: „Co Tocqueville ujrzałby w dzisiejszej Ameryce?”. Czy nasze demokratyczne ustroje niechybnie prowadzą do despotyzmu administracji (to akurat łatwe i już odpowiadam: tak), jak zapobiec absolutyzacji władzy (nie wiem) i czy Tocqueville sądził, że wolność można pogodzić z równością (nie jestem pewna, ale chyba do pewnego stopnia).

Ale chwileczkę, mamy problem: czy w ogóle wolno dziś zadać takie pytanie? Nie mam wątpliwości, że akurat w przypadku Tocqueville’a taki problem by nie wystąpił, skoro Tocqueville był biały; ale okazuje się, że próba odpowiedzi na takie pytanie w przypadku osoby czarnej byłaby „brzuchomówstwem”. Tak, mamy nowy grzech przeciwko postępowej ideologii tożsamości.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.  
Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

O grzechu „brzuchomówstwa” słyszałam po raz pierwszy w związku ze sprawą pomnika Cecila Rhodesa na fasadzie jednego z oksfordzkich college’ów. Pięć lat temu odbyły się przeciwko niemu (pomnikowi, nie college’owi) manifestacje; studenci i inni postępowi aktywiści, a także niektórzy członkowie college’u domagali się jego usunięcia, bo Rhodes był kolonialistą, rasistą, imperialistą, zwolennikiem apartheidu itp. Uniwersytet się obronił, sprawa ucichła, ale teraz, wraz z ruchem Black Lives Matter, sprawa wróciła.

Należy dodać, że istnieje w Oxfordzie fundusz imienia Rhodesa dla czarnych ludzi – fundusz, z którego korzystali niektórzy z protestujących i który, co najważniejsze, poparł kiedyś Nelson Mandela. O czym rektor uniwersytetu niewinnie wspomniął. Na co zaczęło się przewidywalne wycie. Członkowie uniwersytetu wystosowali list otwarty, twierdząc, że Mandela wcale by nie popierał pomnika. Kanclerz uniwersytetu zauważył, że Mandela nie tylko nie miał nic przeciwko pomnikowi, lecz w 2003 r. na konferencji z Clintonem i Blairem poparł Fundację Cecila Rhodesa i sam ustanowił fundusz Mandela Rhodes. Ale teraz kilkunastu wykładowców skrytykowało posługiwanie się jego słowami, potępiając to jako „brzuchomówstwo”.

W Ameryce dzieje się to samo; zresztą cały ruch BLM stamtąd do Anglii przeniknął. Na pewno nie wolno też pytać, co by powiedział Martin Luther King na ten temat, na temat ruchu BLM ani na żaden inny. Co

Tocqueville'a chyba by zdziwiło, nawet po oswojeniu się z obecnym klimatem. (Nas już nic nie dziwi; ale długo żyliśmy w tym nowym klimacie, by dojść do tego stanu).

Na szczęście jednak nie tylko Tocqueville'a to wypracowanie ma dotyczyć. Jest wielu znawców Tocqueville'a, którzy o wiele lepiej ode mnie na te pytania odpowiedzą. Nie udałoby mi się wszystkiego tego uwzględnić ani odrobić tych lekcji na więcej niż – w najlepszym przypadku – trójkę z minusem. Skupię się więc raczej na obecnym żalonym stanie demokracji w Ameryce, nie na *Demokracji w Ameryce*.

*Czy długi marsz przez instytucje odbył się pomyślnie i definitywnie i czy mamy teraz kulturową hegemonię, o której marzył Gramsci?*

Jak ta demokracja dziś wygląda? Czy mamy tyranię większości? Czy jest to raczej tyrania mniejszości? Czy jest to tyrania „mięka”?  
I dlaczego dzieje się

to, co się dzieje? Czy długi marsz przez instytucje odbył się pomyślnie i definitywnie i czy mamy teraz kulturową hegemonię, o której marzył Gramsci? Czy wskutek niej widzimy wokół to wycofanie się z publicznego życia i powstawanie odizolowanych mikrospołeczeństw? Czy coraz więcej z nas decyduje się na kultywowanie swojego ogródka? (To oczywiście już nie Tocqueville, tylko Voltaire, ale chodzi mniej więcej o to samo).

Nadal mamy do czynienia z tyranią mniejszości. Teraz może się wydawać, że ta mniejszość stała się większością. Ale tak nie jest – nawet na lewicy i mimo przejęcia mediów, uniwersytetów, administracji uniwersytetów, wydawnictw, Hollywoodu, mediów społecznościowych i wielkich firm (o których za chwilę) przez postępowych ideologów, i mimo ich ogromnych wpływów. Odzywają się już na lewicy głosy protestujące przeciwko postępowej hegemonii kulturowej – na przykład w formie listu otwartego, podpisanego m.in. przez Noama Chomsky’ego, Salmana Rushdiego, J.K. Rowling i Margaret Atwood.

Warto tu zaznaczyć, że sygnatariusze reprezentują tę starą, bardziej umiarkowaną lewicę liberalną. Zwolennicy i ideolodzy nowej postępowej ideologii mają w ogromnej większości poniżej 40 lat. Problem w tym, że ta mniejszość jest zorganizowana, podczas gdy większość, na lewicy tak samo jak na prawicy, jest beznadziejnie skłócona, bezradna, chaotyczna i przestraszona. Politycy i policjanci boją się krytykować – nie mówiąc o rozpraszeniu i aresztowaniu – ruchy takie jak BLM czy Extinction Rebellion, nawet gdy rabują, podpalają i niszczą sklepy i domy, i atakują policjantów.

Może najważniejszą kwestią jest tu właśnie pytanie o możliwość pogodzenia równości z wolnością. Kiedyś było to celem amerykańskiej liberalnej lewicy; i dla tej starej lewicy celem chyba pozostaje.

Ideolodzy tożsamości grupowej natomiast, w ogromnej większości ludzie młodzi, mają zupełnie inne cele i nie należy do nich ani wolność, ani równość. Kiedyś wolność słowa była kluczowa dla lewicy; teraz nowi młodzi ideolodzy przeciwko niej walczą, skupiając się na

cenzurowaniu, kneblowaniu i wściekłym atakowaniu tych, którzy kwestionują ich cele. Albo tych, którzy są biali. Tudzież tych, których nazywają „kokosami”: przez co mamy rozumieć, że mogą być czarni na zewnątrz, ale wewnątrz są biali. Mieliśmy już arbuzy: na zewnątrz zieloni, wewnątrz czerwoni. Teraz mamy kokosy.

Nie wiem, co Tocqueville by powiedział o tym mnożeniu jarzyn i owoców. Ale należy dodać, że wojownicy ideologii tożsamościowej i BLMteż są arbuzy, tak samo jak ekofaszyści, którymi zresztą też często bywają. To oni dyktują, co wolno mówić i komu w ogóle wolno cokolwiek mówić. Nie wolno też być neutralnym; trzeba czynnie popierać BLM, by uniknąć wykluczeń, bojkotów i innych przykrości („milczenie jest rasizmem”).

Trzeba tu dodać, że ogromna większość aktywistów BLM to ludzie biali, nie czarni. Dla tych, którzy marzą o władzy przez osiągnięcie hegemonii kulturowej, czarni są jedynie pretekstem – użytecznymi idiotami. Tak samo jak morderstwo George’a Floyda jest jedynie pretekstem. Analogia z bolszewikami mówiącymi w imieniu proletariatu byłaby tu trafna. BLM jest ruchem totalitarnym – tak jak totalitarna jest związana z nim ideologia tożsamości grupowej. Posłusznym czarnym może rzuci się jakieś okruszki, jakieś formalne stanowiska; ale władzę chcą objąć biali ideolodzy.

Do równości też nikt już nie dąży. Nowi postępowcy dążą raczej do zniszczenia „białej supremacji” i wzmocnienia swoich wpływów jako „prześladowane mniejszości”, które są jedynymi strażnikami prawdy, poprawności i słusznej myśli. Lewicowcy zawsze postrzegali siebie jako moralnie lepszych, ale nigdy – z wyjątkiem Rosji sowieckiej,

*Co do biurokracji i administracji, jak to z biurokracją: mnoży się, nasilając się własnym popędem. Zawsze tak było i zawsze tak będzie; to prawo jest niezmiennie*

maoistycznych Chin itp. – do tego stopnia. Nie jest już nawet tak, że wszyscy niby są równi, ale oni, przodujący w walce z rasizmem, kapitalizmem, kolonializmem, imperializmem i patriachatem, są

równiejsi. Przeskoczyliśmy już na drugą stronę Orwella, na drugą stronę zwierciadła. Teraz czerwona gwardia postępowców nie udaje nawet – bo ich siła i wpływy są takie, iż nie musi – że ma jakiegokolwiek inne cele prócz dorwania się do władzy. Tak więc wieczne pytanie o pogodzenie równości i wolności stało się nieaktualne i nietrafne: trwa walka przeciwko obu tym niegdyś podstawowym dla nas wszystkim wartościom.

Co do biurokracji i administracji, jak to z biurokracją: mnoży się, nasilając się własnym popędem. Zawsze tak było i zawsze tak będzie; to prawo jest niezmiennie. Ale znów: nigdy nie było tak, że administracja wszędzie – władze uniwersytetów, gazet, wydawców i wielkich firm – ulega presji albo nawet popiera roszczenia nowych ideologów. Na uniwersytetach chodzi o coraz to nowe stanowiska, wyłącznie dla czarnych i innych mniejszości, i obowiązkowe wykłady o „antyrasizmie”; u wydawców – o sprzedaż książek i unikanie bojkotów wydawania niepoprawnych opinii lub niepoprawnych autorów; w gazetach – tak samo; w wielkich firmach – o zachowanie przewagi. Innymi słowy, wszędzie chodzi o pieniądze i władzę. Lecz także strach

odgrywa rolę. Amerykańskie gazety zalecają dziennikarzom unikania słów takich jak „rabowanie” albo „zamieszki”, bo są rasistowskie. Zamiast „zamieszki” trzeba mówić „powstanie”. O despotyzmie biurokracji Tocqueville też miał rację. Można to odwrócić, ale na razie nikt nie odważa się spróbować.

Mówi się dziś, że w obecnym klimacie trudno odróżnić politykę od kultury, od walki o pieniądze i władzę, od własnych interesów, od przekonań, od walki o liberalizm. Walka o liberalizm w starym sensie tego słowa już chyba odpadła, ale co do reszty – istotnie, jest to trudne, bo prawdziwej różnicy nie ma. A raczej: nie chodzi o kulturę ani o przekonania. Znaczenie słowa „kultura” zależy teraz od tego, co zdecydują nowi ideolodzy, i to znaczenie często się zmienia. Prawdziwe przekonania straciły jakąkolwiek wagę, bo wolno mówić tylko niektórym i tylko to, co jest nakazane. To, co jest potępiane jako „rasistowskie” w ustach człowieka białego, nie jest rasistowskie w ustach osoby czarnej, gdy mówi o białych. Tak samo antysemityzm nie jest antysemityzmem, gdy wyraża go człowiek czarny. Słowem nic nie jest tym, czym mogłoby się wydawać; wszystko, każdorazowo, jest jedynie tym, co dekretuje ideologia. Fakty się nie liczą; jeśli nie zgadzają się z ortodoksją, są „rasistowskie” i jako takie do odrzucenia jako nieistotne albo nawet jako „mowa nienawiści”.

Czytałam ostatnio świetny alfabetyczny spis tłumaczeń niektórych z popularnych wyrażen ideologii tożsamości zbiorowej. Na przykład: antyrasizm (cokolwiek, co robi czy mówi ktoś czarny – oczywiście jeśli nie jest „kokosem” – jego opinia i postępowanie zawsze są słuszne), antyfaszyzm (potępianie, atakowanie, wykluczanie, wyrzucanie z pracy itd. kogoś, kto kwestionuje tę ideologię), autentyczność (zgoda z ortodoksją i oficjalną teorią), rasizm awersyjny (jesteś rasistą, ale nie

wiesz o tym), wspólnota (wszyscy ci, którzy poddają się kontroli ideologii), przemoc (mówienie czegoś, co się nie podoba komuś ze wspólnoty), kulturowe przywłaszczanie (noszenie sombrero albo sari, jeśli się nie jest Meksykaninem albo hindusem), kulturowy rasizm (może znaczyć, co się chce), sprawiedliwość społeczna (czarni i inne mniejszości zasługują na uprzywilejowane traktowanie) itd.

Aha, i jeszcze epistemiczna niesprawiedliwość, która też chyba znaczy, co się chce, ale czytam, że formalnie odnosi się do systemowej rasistowsko-patriarchalnej władzy, która chciałaby określić, co jest prawdziwą wiedzą, a co nie. Do czego oczywiście nie można dopuścić, zwłaszcza na uniwersytetach. I jeszcze epistemobójstwo: to chyba odmowa (np. ze strony wykładowcy) przyjęcia opinii członka wspólnoty co do tego, czym jest prawdziwa wiedza. Sądzę, że gdyby Tocqueville, podniósłszy się z grobu, ogarnął rolę, siłę i wpływy Facebooka, Twittera i Google'a, nic z tego szczególnie by go nie zdziwiło. Z ewentualnym wyjątkiem pojęcia brzuchomówstwa.

*Gdyby Tocqueville,  
podniósłszy się z grobu,  
ogarnął rolę, siłę i wpływy  
Facebooka, Twittera i  
Google'a, nic z tego  
szczególnie by go nie zdziwiło*

Lewicowi  
amerykańscy  
publicyści (tzn.  
większość  
amerykańskich  
publicystów) ciągle  
piszą, że istnieje  
ogólnokrajowy  
„konsensus” co do

brutalności policji przeciwko czarnym. Ale (jak wyraźnie pokazuje masa wiarygodnych statystyk) ani nie jest to prawda, ani nie ma na ten

temat żadnego „konsensusu”. Jest to konsensus jedynie tej nowej ideologicznej mniejszości – tej ideologicznej „wspólnoty”. Tu też analogia z bolszewikami jest trafna.

Czy to wszystko jest „miękką tyranią”? Tyranią, która zawładnęła umysłami, przekonując o „konsensusie”? Na pewno taki jest cel i w dużej mierze został on osiągnięty. I czy jest to niechybny skutek demokracji i liberalizmu? Chcę wierzyć, że nie: że w końcu ludzie – na uniwersytetach, w gazetach, w mediach – pójną po rozum do głowy; że ktoś się odważy powiedzieć „dość!” i położy tej rewolucji kres. Bo nie ma wątpliwości, że jest to rewolucja: bardziej à la Gramsci niż bolszewicka, choć zawierająca silne bolszewickie elementy. Niestety na razie nikogo takiego nie widać.

I jest jeszcze jeden problem, może największy: gigantyczne wpływy i pieniądze kalifornijskich technologicznych firm, takich jak Google czy Facebook, które mają coraz większą kontrolę nad przepływem informacji. Te firmy też, jak uniwersytety, wydawcy i księgarnie, ulegają presji, by narzucać cenzurę, zastępować białych pracowników czarnymi i zatrudniać więcej ludzi trans i imigrantów. Czytałam niedawno w piśmie „Le Figaro” ciekawy wywiad z Joelem Kotkinem, autorem książki pt. *The Coming of Neo-Feudalism: A Warning to the Global Middle Class*. Twierdzi on, że żyjemy w świecie, który przypomina średniowiecze: mamy oligarchie, mamy dogmaty, mamy klerków. I że wyłonił się w tym świecie rodzaj technoarystokracji, która połączyła się z klasą intelektualną, by ustanowić nowy porządek społeczny, w którym nie będzie miejsca na tradycyjne wartości.

Garstka młodych ludzi w tych firmach skupia w swoich rękach setki miliardów dolarów. W obliczu rosnącej roli mediów społecznościowych (które są głównym źródłem informacji dla większości młodych ludzi) i rozwijającej się technologii Kotkin dostrzega, słusznie, wielkie niebezpieczeństwo w tym sojuszu między tą technooligarchią a elitami, które razem coraz bardziej kontrolują to, co czytamy, i wpływają na to, co myślimy. Taka kontrola nad informacją otwiera drogę do tyranii – według Kotkina tyranii sojuszu oligarchii i klerków. Być może. Na pewno będzie to tyrania totalitarna.

Więc znów wracamy do zdrady klerków – pojęcia, które nigdy się nie wyczerpuje. Zastosowałabym je jednak najbardziej do uniwersytetów, których psim obowiązkiem jest obrona wolnego słowa i przekazywanie wiedzy. Co do mikrospołeczeństw i kultywacji własnego ogródka – owszem, jest to coraz wyraźniejsze zjawisko. W czym nic dziwnego: człowiek patrzy wokół na arenę polityczno-społeczną i kamienieje z przerażenia. Ja też, napisawszy powyższe z poczuciem beznadziejności, idę zająć się swoim ogródkiem – tzn. czytać książki, oglądać Netfliksa i dzwonić do przyjaciół. I dosłownie pielnić w ogródku.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut  
Wolności - Centrum Rozwoju  
Społeczeństwa Obywatelskiego  
ze środków Programu Rozwoju  
Organizacji Obywatelskich  
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

Dofinansowano  
ze środków Ministra  
Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego